Spór o polską sztukę emigracyjną



„Sztuka w poczekalni” – tak określił polską sztukę emigracyjną prof. Jan Wiktor Sienkiewicz. Na zdjęciu jeden z loftów w wielkiej metropolii Północnej Ameryki.

Katarzyna Szrodt

Łamy „Culture Avenue – Polska Kultura Poza Krajem”, wydają się właściwym miejscem, by poruszyć temat, który od lat nurtuje badaczy dziedzictwa emigracyjnego: czy dorobek plastyków polskich stworzony poza granicami kraju jest częścią polskiej kultury? Wynika stąd drugie pytanie – jakie określenie najtrafniej oddaje charakter tej sztuki: „sztuka emigracyjna”, „sztuka polonijna”, „sztuka polska powstała poza krajem”?

Z racji, że od lat zajmuję się badaniem dorobku plastyków polskich tworzących na emigracji w Kanadzie, omówię ten problem na przykładzie kanadyjskich realiów. Gdy po 1940 roku, w wyniku wojennej pożogi, na terenie Kanady zaczęli pojawiać się polscy artyści plastycy, za wszelką cenę chcieli kontynuować swoją twórczość w nowym świecie. Z powodu wojennej i powojennej biedy panującej w Kanadzie, z faktu, że Kanada nigdy nie była krajem łatwym dla sztuki i artystów, również z powodu pierwiastka nacjonalistycznego, zaszczepionego sztuce kanadyjskiej przez malarzy *Groupe of Seven*, propagujących pejzaż północy malowany przez malarzy -Kanadyjczyków – zamiar polskich artystów-emigrantów włączenia się w nurt sztuki i życia kulturalnego Kanady stał się niezwykle trudny do zrealizowania. Konieczność zaczęcia życia od zera w nowym języku i w odmiennej kulturze, połączyły się ze zderzeniem z polonijną wersją życia stworzoną przez chłopską emigrację za chlebem.

Przymiotnik „polonijny” na kontynencie amerykańskim wszedł w użycie po pierwszej wojnie światowej dla określenia emigracji zarobkowej początku XX wieku. Używany przez księży, nauczycieli szkółek polonijnych, przywódców organizacji i polski rząd – przypieczętowany został ich autorytetem. Po 1945 roku, gdy do starej, przedwojennej emigracji, zwanej Polonią, dołączyła fala wojennych uchodźców, starano się używać trafniejszych przymiotników: „emigracyjny”, „wychodźczy”, i tak również określano literaturę i sztukę tworzoną przez polskich twórców. Jednak przymiotnik „polonijny” nie wyszedł z użycia, używany był bardzo często i jego zakres rozszerzał się na gazety, wydawnictwa książkowe i zagościł na dobre w uzusie *(zwyczaju językowym. red.)*. Kwalifikowanie artystów, wykształconych w polskich i europejskich szkołach artystycznych i czerpiących inspirację z rodzimej historii i sztuki, do twórczości „polonijnej” – było nietrafne i wręcz obraźliwe. Nie było to jedyne nietrafne określenie, jakie pojawiało się w tekstach omawiających prace naszych artystów w Kanadzie. W prasie kanadyjskiej i w rządowych dokumentach, twórczość artystów-emigrantów określana była mianem „ sztuki etnicznej”. Krytycy sztuki i urzędnicy działalność artystów profesjonalnych wrzucali do jednego działu wraz z twórczością ludową i okolicznościowymi imprezami, co powodowało, że rządowe dofinansowywanie polskiej diaspory przeznaczane było przede wszystkim na organizowanie bazarów, pikników, uroczystości historycznych, a w dużo mniejszej części na wspieranie artystów, wystaw,

projektów plastycznych. O aspektach „polonijnych” kultury i sztuki emigracyjnej mówiono i pisano także w Polsce, co było formą umniejszenia i odłączenia twórczości artystów-emigrantów od nurtu krajowego.

Ważny głos sprzeciwu wobec określania sztuki artystów polskich w Kanadzie „polonijną” padł ze strony profesor *University of Toronto* Danuty Bieńkowskiej:

> Nie ma kultury polonijnej, jest tylko kultura i sztuka polska, której korzenie tkwią w dziedzictwie polskim – stamtąd płynie siła i inspiracja.

Bieńkowska podejmuje także kwestię „etniczności”:

> Anglosasi uważają, że kultura grup etnicznych sprowadza się do zachowania pewnych form kultury ludowej – śpiewu, strojów, tańców. Polacy nie są jedynie narodem wieśniaków, którzy poza tańcem i pieśnią nie wytworzyli nic innego. Takie podejście hamuje rozwój sztuki wysokiej. Nie mając często wyboru, profesjonaliści dołączają do sponsorowanych przez rząd wydarzeń folklorystycznych, co potwierdza tezę o „sztuce etnicznej”, gdzie prawdziwa sztuka przegrywa z kiczem, reprodukcją, rzemiosłem.

Profesor Bieńkowska zdecydowanie odrzuca określenie „sztuka polonijna”. Walkę przymiotnikowi „polonijna”, w odniesieniu do literatury i plastyki, wypowiedziała też Jadwiga Jurkszus-Tomaszewska – zasłużona badaczka kultury polskiej w Kanadzie, przy każdej okazji wskazując przynależność tej twórczości do dziedzictwa polskiego.

Kazimierz Głaz, malarz i pisarz, od końca lat 60. mieszkający w Toronto, uważa się za malarza polskiego a nie „polonijnego”, uzasadniając to następująco:

> Zaryzykuję śmiało twierdzenie, że Polonia nie istnieje wcale. Polska, Polacy w kraju, posiadają oprócz wielu wspólnych spraw, wspólną kulturę. Polonia nie. Organizacje polonijne nigdy nie sponsorowały rozwoju kultury wysokiej, nie kupowały prac artystów, nie stworzyły systemu wspierającego twórców profesjonalnych. Nie można więc mówić o „sztuce polonijnej”.

Zwalczanie określenia „polonijny” wydaje się być nie tylko kwestią stylistyki. Widać w tym walkę artystów-emigrantów o włączenie ich sztuki w nurt sztuki krajowej. Plastycy na emigracji nigdy nie odcięli się od polskich korzeni i każda wystawa w Polsce jest dla nich świętem.

Nie ma pisarzy, malarzy, rzeźbiarzy polonijnych. Są polscy, są kanadyjscy polskiego pochodzenia i ich dokonania w Kanadzie, tak jak innych twórców polskich rozrzuconych po świecie, są rozdziałem polskiej powojennej kultury i sztuki.

_____

O Irenie Bieńkowskiej:

http://www.cultureave.com/danuta-irena-bienkowska-1927-74/

O Kazimierzu Głazie:

http://www.cultureave.com/w-poszukiwaniu-piekna-kazimierz-glaz/

http://www.cultureave.com/aniol-stroz-opowiadanie-sensybilistyczne/

Przyjaźń

Florian Śmieja



Wilno 1936, pod Ostra Brama. Florian Smieja w pumpach w pierwszym rzedzie. Przewodniczka Zofia Bohdanowiczowa. Z tylu samotny Piotr Guzy. fot. arch. F. Śmieji.

Z powieściopisarzem Piotrem Guzym spotkałem się we wrześniu 2005 roku w Toronto. Przed wojną chodziliśmy wprawdzie do tego samego gimnazjum w Tarnowskich Górach, a nawet obaj

widniejemy na fotografii pod Ostrą Bramą w Wilnie zrobionej w czasie wycieczki w 1936 roku, ale wtedy nie znaliśmy się. Różnica trzech lat była nieprzekraczalną barierą.

Kilka lat temu dowiedziałem się, że Guzy mieszka samotnie na emeryturze w Hiszpanii. Nawiązałem z nim kontakt i od tego czasu korespondowalismy z esobą.

Na emigracji wydał głośną, nagrodzoną przez "Kulturę" powieść "Krótki żywot bohatera pozytywnego" demaskujący działalność służb bezpieczeństwa w PR-u. Potem pracował nad dużą sagą rodową umiejscowioną na Śląsku.

Guzy był unikatem. W Polsce pod kuratelą Kazimierza Koźniewskiego napisał propagandową książkę, poczem uszedł z rodziną do Anglii. Odtąd żałował i nie mógł sobie darować, że napisał paskudną książkę. Pokażcie mi drugiego takiego naszego literata, który się wstydzi swego dorobku z czasów dyktatu komunistów w literaturze? Chyba nie ma. Spokojnie przeszli na inną pozycję, często nawet nie opuścili intratnego świecznika. Życiowi ludzie.

***



Jan Nowak-Jeziorański w Radio Wolna Europa, fot. Wikimedia/domena publiczna

Różne miałem sprawy z Janem Nowakiem Jeziorańskim. Chciał mnie zwerbować do radia, kiedy go odwiedziłem w Monachium, ale przyznał, że powinienem pilnować kariery akademickiej, jeżeli stanie się aktualna.

Kiedy można było swobodnie jeździć do wolnej Polski oświadczył, że nie będzie jeździł na różne tam Hawaje i Bahamy, ale do Polski. I w tym się z nim zgodziłem. Spotkałem go potem we Wrocławiu.

Latał do kraju, bo wiedział, jako doświadczony emigrant, że tylko tam znajdzie przyjaźnie najbardziej osobiste wychodzące poza zdawkowe kontakty i rozmowy, przyjaźnie głębsze, oparte na wspólnocie zainteresowań, o które gdzie indziej niełatwo, bo są

rzadkie nawet w sprzyjających warunkach i materialnym otoczeniu. Posiadanie bratniej duszy to wygrana na loterii, to kosztowanie pełni życia, to wychodzenie poza ciasne, samolubne ramki, aby żyć żarliwiej. Największym brakiem na emigracji jest brak bliskich ludzi, którzy są bardziej potrzebni w życiu niż dobrobyt i kariera, bo są rękojmą zdrowia. Ich strata jest nieszczęściem. Kto stracił druha i nieodstępnego towarzysza stał się kaleką.

Bronisław Piłsudski – badacz kultur Dalekiego Wschodu



Ajnowie, fotografia z wystawy „Bronisław Piłsudski (1866-1918) w Wilnie”, niepodległa.gov.pl

Monika Dąbrowska

Pociąg z Osaki do Tokyo pędzi tak szybko, że nie sposób uchwycić zmieniającego się za oknem krajobrazu. Moja podróż po Japonii dobiega końca, a ja próbuję utrwalić w pamięci to wszystko, co przyniosły ostatnie dwa tygodnie dotykania japońskiej rzeczywistości, nowe miejsca, dźwięki, zapachy. Z rozmyślań wyrywa mnie komunikat o zbliżającym się przystanku. Na czerwono wyświetla się YOKOHAMA. Co ja wiem o Yokohamie? Chyba nic, ale czy na pewno? Podświadomość podpowiada mi, że jednak coś ważnego kojarzy się z tym

miastem. I nagle, olśnienie! W Yokohamie mieszkają krewni Józefa Piłsudskiego. Czytałam o tym jakiś czas temu i pamiętam, jak bardzo zaciekawił mnie ten wątek. Potem, natknęłam się na wywiad z dziennikarką Dorotą Hałasą, która w Japonii, spotkała się z Kazuyasu Kimurą, wnukiem Bronisława Piłsudskiego, starszego brata Marszałka. A ostatnio, śledzę, niezwykłą podróż, w którą, śladami brata swego pradziadka, udała się Danuta Onyszkiewicz. Wyprawę Danuty Onyszkiewicz można obserwować wchodząc na stronę: sladamibronka.com



Bronisław (drugi z lewej) i Józef (trzeci) Piłsudscy, 1885. Kółko samokształceniowe „Spójnia” w gimnazjum wileńskim, fot. wikipedia

Bronisław Piłsudski jest postacią intrygującą. My Polacy, mało o nim wiemy, a przecież, na świecie cieszy się dużym uznaniem. Ma on bowiem, ogromne zasługi na polu etnografii i antropologii, jako badacz kultur Dalekiego Wschodu. Badał i opisywał ludy Niwchów i Oroków oraz Ajnów, początkowo na Sachalinie, a następnie na wyspie Hokkaido. Materiały naukowe które zebrał i opracował, najpierw jako katorżnik, a potem oficjalny przedstawiciel naukowych instytucji rosyjskich, są bezcennym źródłem wiedzy w dziedzinie meteorologii,

lingwistyki, życia plemiennego i rodzinnego, zwyczajów i obyczajów tamtejszych plemion. Pod koniec XX wieku, w prestiżowym wydawnictwie naukowym De Gruyter Mouton, zaczęły wychodzić po angielsku, pod redakcją Alfreda F. Majewicza, „Dzieła Zebrane" Bronisława Piłsudskiego. W Japonii, w Sapporo, postawiono pomnik ku czci Piłsudskiego, a i w podręcznikach szkolnych figuruje jego nazwisko. Jednym z ważniejszych dokonań Bronisława, są unikalne nagrania dźwiękowe mowy i pieśni Ajnów zarejestrowane na woskowych wałkach. Pozostały też, spisane podania i legendy, słowniki, i duży zbiór fotografii. Bronisław Piłsudski ocalił Ajnów od zapomnienia. Nie planował kariery naukowej w etnografii, nie miał też w tej dziedzinie formalnego wykształcenia. Na Daleki Wschód został zesłany, po tym, jak karę śmierci za planowanie zamachu na życie cara Aleksandra III, udało się zamienić na kilkunastoletnią katorgę. Nota bene, za udział w tymże spisku, powieszony został starszy brat Lenina, Aleksander Uljanow. Można sobie tylko wyobrażać, co przeżywał dwudziestoletni Bronislaw, wyrwany ze swego środowiska, odseparowany od rodziny i przyjaciół, wepchnięty na statek, z którego, jako katorżnikowi, nawet w portach postojowych nie wolno było zejść.

Namiastkę tych przeżyć i refleksji znaleźć można w listach Bronisława do ojca. Udostępnia je czytelnikom Profesor Antoni Kuczyński, autor wielu publikacji o Piłsudskim. Bronisław Piłsudski na zesłaniu spędził kilkanaście lat swego życia.

Pierwsze lata, jako katorżnik, potem miał status osadnika. Nie poddał się rozpaczy, choć zdawał sobie dobrze sprawę, jakim cieniem kładło się wygnanie, nie tylko na jego własnym życiu, ale na losie ojca i rodzeństwa. Szukając wyższych wartości, uznał, że będąc pożytecznym dla innych, nada sens swej nowej sytuacji. Do rdzennej ludności, podchodził z szacunkiem i empatią. Miał łatwość nawiązywania kontaktów z dziećmi, przez co, zdobywał zaufanie ich rodziców. Z biegiem lat, poznał tamtejsze języki, zaczął zakładać szkoły, uczył uprawy roli, popularyzował zasady higieny, bronił autochtonów przed lokalną administracją. Stał się ich orędownikiem.



Bronisław Piłsudski (1866-1918), fot. wikipedia

Na Sachalinie, już jako wolny osadnik (ale bez prawa opuszczenia Rosji), poznał siostrzenicę wodza Bafunke Kimury, Chuusammę, z którą ożenił się. Mieli dwoje dzieci, syna Sukezo, którego potomkowie mieszkają obecnie w Jokohamie i córkę Kyo, której rodzina żyje na Hokkaido. Po wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej Piłsudski udał się do Japonii, a następnie przez Stany Zjednoczone, w roku 1906, wrócił do Europy, by zamieszkać w Krakowie, a potem w Zakopanem, gdzie prowadził badania etnograficzne Podhala. Do swej ajnuskiej rodziny nigdy nie

powrócił. Podobno, przed wyjazdem czynił starania, by zabrać rodzinę ze sobą, ale nie uzyskawszy zgody wodza, odjechał więc sam. Sytuacja nie jest jasna, jednak fakt opuszczenia najbliższych, musiał do końca życia ciążyć na sumieniu Bronisława Piłsudskiego.

Po wybuchu I wojny światowej Piłsudski wyjechał do Szwajcarii i tam włączył się w działalność niepodległościową. W roku 1917 znalazł się w Paryżu, gdzie w kolejnym roku, w wieku 52 lat, tragicznie zakończyło się jego życie. Ciało znaleziono w Sekwanie, 17 maja 1918 roku. Wielu badaczy uważa, że było to samobójstwo. Bronisław Piłsudski, zesłaniec, etnograf, antropolog, wielki przyjaciel ludów Dalekiego Wschodu i starszy brat Marszałka Piłsudskiego, odszedł nie doczekawszy niepodległej Polski.



Portret Bonisława Piłsudskiego autorstwa A. Varnasa, fotografia z wystawy „Bronisław Piłsudski (1866-1918) w Wilnie”, niepodległa.gov.pl

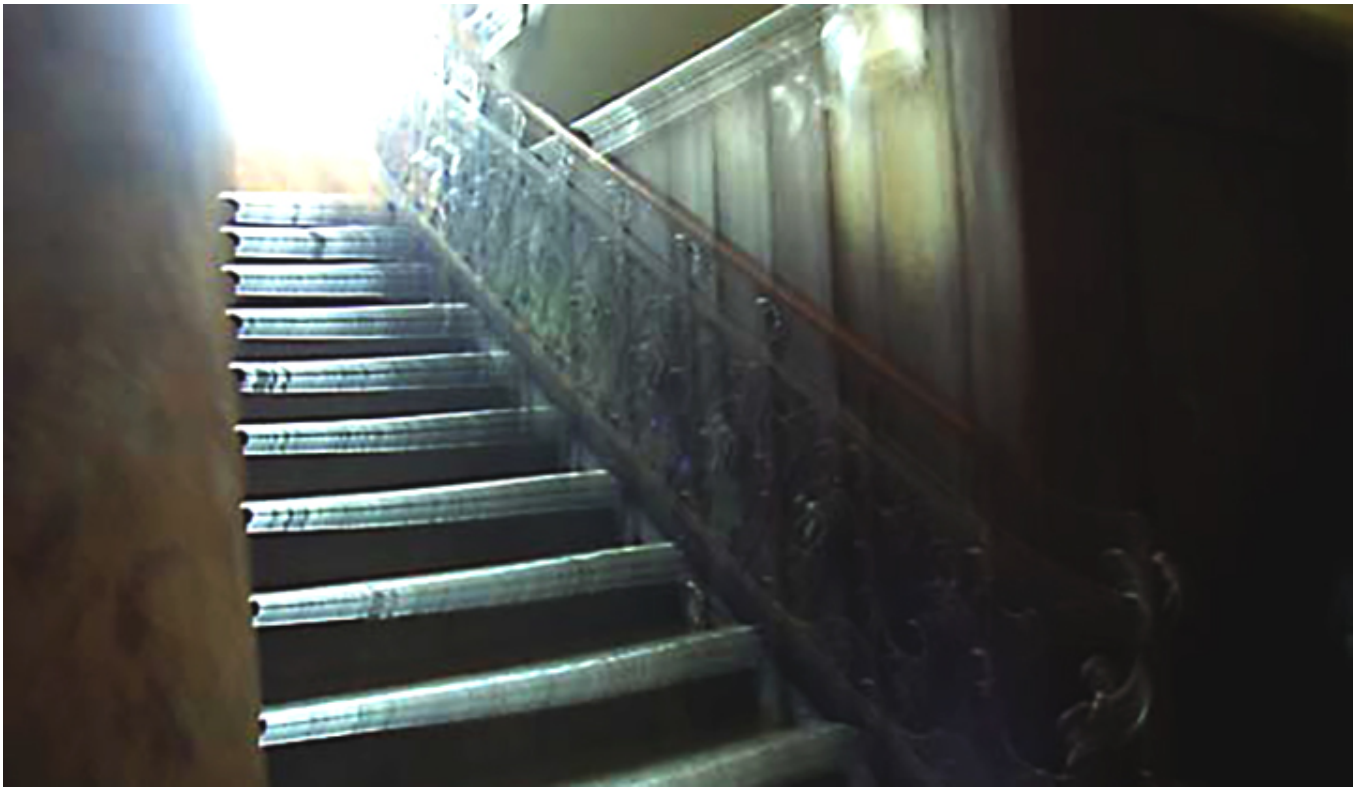
***

Warszawski autobus miejski, do którego wsiadłam kilka dni przed wyjazdem do Japonii nie był zatłoczony, ale miejsc siedzących było tylko kilka. Usiadłam obok miłej, uśmiechniętej, elegancko ubranej kobiety. Była jesień, ale dzień wyjątkowo piękny, ciepły, słoneczny. Z zaciekawieniem obserwowałam widoki za oknem autobusu. Na kolejnym przystanku, wsiadła

grupa Wietnamczyków. Stanęli nieopodal mnie, kontynuując, w swym języku, zapewne wcześniej zaczętą rozmowę. Moja sąsiadka, już się nie uśmiechała. „Takich, to my tu nie potrzebujemy”, wyrzuciła z siebie, czekając na potwierdzenie swej racji. „Takich, to znaczy, jakich?”, zapytałam, ale ona wzruszyła tylko ramionami. Milczałyśmy. Autobus pomykał dalej. Za oknami zobaczyłam zarysy pomnika Józefa Piłsudskiego. Po kilku minutach wysiadłam.

„Czy zna pani losy starszego brata Marszałka?” Szkoda, że wtedy nie zadałam jej tego pytania.

Schody



Adam Fiala

Matura po polskim październiku 1956 roku nie była łatwa zwłaszcza z przedmiotu zwanego historią. Przedmiot ten lubi ulegać magicznym zmianom. Zaś szkoła imienia Stanisława Staszica w Lublinie kojarzy mi się głównie ze Schodami. Nie chodzi o kariery, wielu uczniów je porobiło zwłaszcza w naukowych dziedzinach. Schody były drewniane, o wypracowanych stopniach, zjeżdżało się po nich w ciapach jak po ślizgawce. Były dwa zjeżdżania. Pierwsze gdy kończyły się lekcje, a były także w sobotę, drugie na gorącą zbożową kawę w podziemiach. Akurat przed dużą przerwą. Śpiący na lekcjach wtedy się budzili, nawiedzeni trzeźwieli i wiara wyruszała nie w pole, ale do kawopoju. Kanapki własne przynosiło się z domu,

przeważnie bułki bez szynki. Szynka w socjaliźmie była produktem strategicznym. Wszystkie ówczesne ruchy, także solidarnościowe były głównie z powodu mięsa, jak to nazywano „świnoujścia" do Związku Radzieckiego, gdzie kołchozy i sowchozy nie nadążały z produkcją.

Ze Schodami kojarzą mi się dwaj nauczyciele zwani „psorami". Pierwszym z nich był dyrektor Majder, pseudo uczniowskie było zbędne bo krótkie nazwisko. Dyrektor, łacinnik, słynny z południowego temperamentu. Uczęszczałem na lekcje łaciny i szalenie bawiła mnie i klegów głośna odmiana: *hic, haec, hoc, huius, huic*. Majder lubił trzepać zeszytem po głowie ucznia nieprawidłowo odmieniającego. Drugie słowo to było *plusquamperfectum*. To taki czas zaprzeszły. Akurat w naszym czasie nie brakowało pluskiew i były perfekcyjne.

Jest nonsensem, że łacina to język martwy acz piękny. To jest urzędowy język państwa Watykan, nawet wynajdują nowe słownictwo na takie terminy jak telefon komórkowy czy komputer. On żyje i króluje. Na maturze miałem więc język łaciński. Zwolniony byłem potem na studiach prawniczych z uciążliwego lektoratu tego języka. Drugą uciążliwością nieznaną studentom KUL to było Studium Wojskowe, ale to zupełnie inna *cup of tea*.

Majder nie tylko trzepał zeszytami po głowach. Także ciapami,

wtedy unosił się straszny pył. Zaczajał się przy końcu schodów i jak ktoś zjechał krzyczał: “poznałem cię”, kazał zdejmować ciapa i odkurzał go na głowie delikwenta. Wtedy nie było jeszcze absolutnej nietykalności cielesnej. Ale Majdera wyrzucono po polskim październiku i zajął jego miejsce Ślepak, z okularami grubymi jak dno szklanki. Ślepak jednak wszystko wiedział i widział bo miał szpiegów. Nauczał matematyki którą nazywał królową nauk. Wiedza matematyczna Ślepaka zamykała się w grubym zeszycie z gotowymi, rozwiązanymi zadaniami. Spiskowano nawet by podkraść mu ten zeszyt. Byłby bezradny jak i bez podwójnych okularów. Gdy zmieniał okulary cała klasa machała rękami zakładając, że w tym momencie kompletnie nic nie widzi. Te szczegóły zostały zupełnie pominięte w panegirycznej nieco książeczce “Tamten Staszic”. Myślę że po prostu musiała być sporządzona w takim stylu. Rodzaj laurki. Cudem więc zdałem maturę z tego przedmiotu.

Ale jeszcze większy cud był z kolejnym „psorem” o pseudonimie Kalif. Też udało mi się zdać historię na trójkę. Kalif również wiąże się w mojej pamięci ze Schodami. Prowadził swą klasę dostojnie na śniadanie, wymachując grubą lachą jak Mojżesz. Do momentu. Wataha z góry naparła na jego klasę i Kalif został przewrócony, podeptany, a lacha uleciał kilka metrów dalej. Od tego wydarzenia Kalif już przestał uczyć kultury zachowania i bawić się w Mojżesza, prowadzącego do Ziemi Obiecanej.

Kombinowałem już wtedy, przyznaję się, by uniknąć tłoku. Nakładałem czerwoną opaskę, niby dyżurnego i bez problemu ześlizgiwałem się w podziemia (Majdera już wtedy nie było). Kawę podawano bez ograniczeń, czasami nawet naturalną, nie, nie, nie w okolicach świąt państwowych czy 1 Maja ale akurat kościelnych. Kalif to była barwna postać godna satyryka i jego powiedzenie: "strzelaj Niemcze w pierś Szlązaka" przeszło do historii szkoły Staszica. Odnalazłem je w tej książeczce "Tamten Staszic" przesłanej mi z Lublina po śmierci kolegi z prawniczych studiów. Są w niej dwa piękne eseje Kmiecika i Szczepaniaka. Pierwszy jest naukowcem, a drugi kustoszem Muzeum Socjalizmu w Kozłówce pod Lubartowem. Może jakimś cudem się o tym felietonie dowiedzą, bowiem lubliniacy są rozprzestrzenieni po całym świecie. Zaś Kalif, który przeplatał przedmiot historii własnym życiem, był, jakby to aktualnie powiedzieć, i szowinistą i rasistą i Bóg wie kim, bohaterem prawdopodobnie także. Nienawidził wszystkich narodów i innych ras za wyjątkiem Francuzów, Polaków, a szczególnie ukochał etniczną grupę Hanysów czyli Ślązaków, choć sam był w innym miejscu urodzony, jako „gorol" *(Ślązacy innych nazywają „gorole", red.)*. Ale uwaga szczególnie nie lubił Czechów. Czecha nazywał Prusakiem Wschodu. Mam czeskie nazwisko, jestem pragmatycznym pacyfistą w stylu właśnie czeskim (nawet w czasie Czeskiej Wiosny, czyli powstania przeciwko komunie, nikt albo prawie nikt nie zginął). Byłem tam tylko raz na wycieczce zakładowej z "Samopomocy Chłopskiej", ale uważam, że Praga

Czeska to najpiękniejsze miasto Europy, dobrze że nie było tam nigdy ostrego powstania i nienaruszona ocalała. Ponadto tam urodził się mój ulubiony pisarz Franz Kafka, który się nie starzeje, a nawet jakby ciągle rośnie w aktualność. Kalif więc mógł do mnie odczuwać naturalną niechęć. Niektórzy nauczyciele jak Dziewulski zwany Cyganem wzywali mnie do tablicy okrzykiem: "Fiala przyleciała". Kalif miał na głowie tajemniczą bliznę. Podobno nie była z powodu Szwaba tylko oblany przez niego na maturze uczeń strzelił mu w głowę z modnego wówczas korkowca.

Kalif według własnych opowieści był bohaterem lub bardziej aktualnie ujmując rodzajem Rambo. Krótko ostrzyżony miał maleńkie niebieskie świńskie oczka i w dodatku grywał na skrzypcach, żeby było jeszcze zabawniej. Grał jak to nazywał: kawałki. Kiedyś zagrał na akademii na pianinie taki kawałek bodajże Szuberta, ale jeden ważny klawisz nie działał. Kalif był w Legionach, w 1919 r.walczył o Śląsk Cieszyński. Wraz z garstką kolegów pobił cały batalion czeski, przeganiając wroga za Olzę. W 1919 r. bił się z Ukraińcami o Lwów i Galicję Wschodnią. Ukraińcy się cofnęli. W 1920 r. rozgromił bolszewików i wygrał konkurs skrzypcowy.

Ale jeżeli chodzi o Szwabów to się z nim nie zgadzałem, bo kocham szwabski salceson, którego nie znajdzie się w Australii. Zwano go też Guzikowym, ze względu na oczka białego tłuszczu

w czerwonym krwawym mięsie. Bogaci ludzie w Polsce, a nigdy ich nie brakowało, zwano ich Czerwonymi Świniami z Zatoki Dobrobytu karmili tym salcesonem psy i koty.

Kalif jednak lubił Napoleona. Ponoć z zemsty za Księstwo tylko Warszawskie Polacy namówili Napoleona do inwazji na Rosję. Ale to już zupełnie inna historia.

Spisujmy wspomnienia, bo lubią ulatywać w przestrzeń kosmiczną. Czy komiczną – jak kto woli.

Ramis Neuronis. Jacek Gwizdka –

fotografie.



Jacek Gwizdka, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Jacek Gwizdka urodzony w Łodzi naukowiec, pracuje na stanowym uniwersytecie w Teksasie w Austin (University of Texas at Austin) w School of Information, gdzie jest m.in. współdyrektorem laboratorium Information eXperience. W pracy naukowej bada interakcje człowieka z informacją i wyszukiwanie informacji przy użyciu technologii komputerowych. Jest jednym z pionierów w dziedzinie Neuro-

Information Science, w której zajmuje się stosowaniem metod z psychologii kognitywnej i neuro-fizjologii człowieka w badaniach interakcji człowieka z informacją. W 2013 roku jego prezentacja „Looking for Information Relevance In the Brain", przedstawiona na konferencji Neuro Information Systems (NeuroIS'2013) w Gmunden w Austrii została wyróżniona nagrodą imienia Dr. H. Zemlicka za najbardziej wizjonerski artykuł.

Jacek Gwizdka od lat zajmuje się fotografią. Jednym z tematów jego zdjęć są splątane gałęzie drzew układające się w całość. Otrzymywane obrazy tworzą abstrakcyjne kształty i powierzchnie, przypominające złożoność struktur neuronów w mózgu.

Człowiek jest częścią przyrody, powstał z tych samych elementów, które tworzą otaczający nas świat. Poszukiwanie podobieństwa w obrazach badanego przez artystę w pracy naukowej ludzkiego mózgu, do otaczających nas formacji występujacych w naturze, jest dla niego fascynujące. Drzewa z wyciągniętymi ramionami, czy wijące się, tętniące wiatrem, przekazujące impulsy światła gałęzie, uchwycone przez aparat Jacka Gwizdki, prowokują widza do refeksji.

oprac. Joanna Sokołowska-Gwizdka

G a l e r i a












© 2018 Jacek Gwizdka



© 2018 Jacek Gwizdka

















Ramis neuronis (łac.) – gałęzie (ramiona) neuronów.

Poprzednia seria fotografii Jacka Gwizdki:

http://www.cultureave.com/cogitationes-aqua-jacek-gwizdka-fotografie/

_____

Copyright Jacek Gwizdka. Zainteresowanych zakupem zdjęć prosimy o kontakt z redakcją.

Ramis Neuronis. Jacek Gwizdka – photography.



Jacek Gwizdka, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Jacek Gwizdka, a scientist born in Łódź, works at the state University of Texas at Austin (University of Texas at Austin) at the School of Information, where he is co-director of the Information eXperience (IX) laboratory. In his scholarly work, he explores human interaction with information and information retrieval using computer technologies. He is one of the pioneers of the new field of Neuro-Information Science, in which he applies methods from cognitive psychology and human neuro-physiology to the study of human-information interaction. In 2013 his presentation „Looking for Information Relevance In the Brain", presented at the Neuro Information Systems (NeuroIS'2013) conference in Gmunden, Austria received Dr. H. Zemlicka award for the most visionary paper.

Jacek Gwizdka has been practicing photography for many years. One of his recurring photographic themes are tangled tree branches. The images form abstract shapes and surfaces, reminding the complexity of neuronal structures in the human brain.

Human is part of the nature and was formed from the same elements that comprise surrounding world. Jacek Gwizdka finds fascination in seeking similarities between brain images from his scientific work and visual forms in the nature. Trees with open arms, or winding branches, pulsating with impulses of light, captured by the artist’s camera, provoke the viewer to reflection.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

G a l e r i a












© 2018 Jacek Gwizdka



© 2018 Jacek Gwizdka

















Ramis neuronis (latin) – branches of neurons

More photography by Jacek Gwizdka „Cogitationes Aqua”:

http://www.cultureave.com/cogitationes-aqua-jacek-gwizdka-photography/

_____

All photographs Copyright Jacek Gwizdka. To purchase any of the photos, please contact the editorial staff.

Tymon Terlecki



Tymon Terlecki, 1983 r., w pracowni na Hazlewellu, fot. arch. Niny Taylor-Terleckiej.

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Z Tymonem Terleckim, wybitnym krytykiem teatralnym, dzieliłem mało zrozumiałą dla innych pasję szanowania i oszczędzania papieru. Tworząc swoje utwory, rzadko kiedy używałem czystego arkusza papieru, jeżeli można było pisać na odwrocie już zapisanego. Nie pamiętam też bym napisał jakikolwiek tekst na czystej kartce, wszystkie powstawały na starych kopertach lub niepotrzebnych formularzach i makulaturze, a dopiero gotowe i skończone doczekały się translacji na czysty papier.

Tymon Terlecki posuwał oszczędzanie także daleko. Pisząc listy ścibił, by jak najwięcej zmieściło się na niewielkiej kartce. Kopert nowych w ogóle chyba nie używał, naklejając na starych nalepkę z nowym adresem. Złośliwi mówili, że robił tak ze skąpstwa, ale ja widzę w takim oszczędzaniu piękny gest ochrony drzew, dopiero dziś ceniony należycie, wczesny zmysł ekologiczny i obronę środowiska. Dzięki temu Tymon Terlecki w naszej pamięci posiadł pokaźny rezerwat wdzięcznych drzew, które się uratowały.

Nie marnotrawiąc papieru przecież zostawił drugiej żonie ogromną spuściznę literacką, której okazała się wiernym kustoszem, wydając ją z wielkim pietyzmem. Nina Taylor przyjęła rolę idealnegogo ambasadora męża. Opanowała nie tylko w sposób mistrzowski język polski, ale przejąwszy niektóre zamiłowania Tymona, stała się zdumiewającą specjalistką od

niektórych zagadnień kresowej literatury polskiej. Jej dom w Oksfordzie jest nie tylko wielkim archiwum wybitnego teatrologa, ale żywym nadal źródłem ważnych publikacji.

O Tymonie Terleckim:

http://www.cultureave.com/wytrwac-za-siebie-i-za-narod/